MURZYNEK

Sierpień 1937

Rok XXV Nr. 8



Boga nam dajcie!

MURZYNEK

katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, woj. lwowskie.

Prenumerata roczna 1.20 zł.

SPIS RZECZY: Moc błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem. — Ocalona. — Czarny aniołek. — Salia. — Film dla Murzynków. — Zagadki.

Ilustracje: Czarne siostry przy rąbaniu drzewa. — Mały cieśla.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującymi adresami:

Sodalicja Klawieriańska, Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. lw.) — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Częstochowa*, al. Najśw. Maryi Panny 79. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.

MÓWCIE O „MURZYNKU“; DAWAJCIE GO DO CZYTANIA INNYM!



Moc błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem

(„Missions d'Afrique des Pères Blancs.")

(Dokończenie.)

Dnia następnego, zrana, kiedym miał lekcję czytania z mymi czarnymi uczniami, wbiegł pośpiesznie jakiś chłopiec i wręczył mi kartkę od naczelnika wioski, który towarzyszył w podróży drugiemu Ojcu. Odczytywałem ją kilkakrotnie i ciągle mi się zdawało, że śnię, tak zdumiewającą była wiadomość, zawarta w bileciku! *„Baba, jana lalo amemuona Padri, lakini amekuwisha fufuka; sunambebe kitandani"*. (Ojcze, wczoraj piorun zabił Ojca, ale zmartwychwstał; odnosimy go do misji na noszach.)

Nie wierzyłem własnym oczom... przeczytałem bilet ponownie... po czym pytam młodzieniaszka :

— Czyś widział Ojca ? Czy naprawdę żyje?

— Ależ tak, Ojcze, niesiemy go, bo się czuje słaby.

— Więc nie umarł ?

— Teraz nie, ale wczoraj umarł naprawdę. Teraz jest przy życiu... Ale otóż i Ojciec; otaczają go jego towarzysze podróży.

W rzeczy samej, dostrzegam w oddali całą karawanę, zbliżającą się z pośpiechem.

Przywołuję mego konfratra; wychodzi ze szkoły w otoczeniu dzieci i chrześcijan nadbiegłych z pobliża; idziemy w stronę Ojca... Ściskamy mu serdecznie dłoń...

— Co za przygoda! mówi mi. Co za wypadek!

Dochodzimy do domu. Ojciec był nad wyraz zmęczony, daliśmy mu przeto nieco do zjedzenia, poczem usunął się do swej izdebki, by wypocząć.

Młody naczelnik wioski, który chciał przewodniczyć tej wycieczce, począł nam opowiadać, co zaszło.

— Wczoraj, zaledwie słońce zaczęło rzucać swe promienie na plac wioski (około drugiej po południu), kiedyśmy doszli do ostatniego etapu naszej podróży, upał był nie do zniesienia; „na zębach słońca była wielka moc i wielka złośliwość“ (wyrażenie murzyńskie, oznaczające wielki upał). Horyzont pokryły czarne chmury; błyskawice krzyżowały niebo, a wiatr podnosił tumany kurzu.

Weszliśmy do chaty, wszyscy razem. Ojciec usiadł, by wypocząć, a i tragarze przysiedli bądź na bagażach, bądź na suchej trawie, pokrywającej ziemię chaty.

Wielkie krople deszczu poczęły padać, a wiatr dął niemiłosiernie poprzez słomiane ściany chaty... Zimno mi było, wyszedłem przeto i począłem biec, wymachując rękami, by się nieco rozgrzać, gdy nagle oślepiający blask ogarnął cha-

tę, jakoby pożar i piorun uderzył z taką siłą, że aż ziemia zadrżała.

Spoglądam i co widzę? Czarny, gęsty dym wychodził z dachu chaty... Począłem wołać o pomoc i jednym skokiem byłem we wnętrzu chaty... Co za okropność! Piorun trafił w Ojca. Siedział ciągle jeszcze, skurczony i bez życia. W mgnieniu oka wynieśliśmy go na dwór, porozpinaliśmy mu ubranie i naszym sposobem poczęliśmy mu przywracać życie. Zaczęliśmy mu masować ramiona, nogi, pomagaliśmy do cyrkulacji krwi... Ciągnęliśmy go za język, za wargi, za nos, za rzęsy, za uszy... podczas gdy deszcz orzeźwiający skrapiał pierś Ojca. Poczęto nań wołać imionami najmilszymi, najsłodszymi... i dzięki Bogu, życie powróciło, i to całkowicie... Ojciec podniósł się z trudem, jak gdyby się budził ze snu ciężkiego... Ludzie przygotowali prędko nosze... ulokowaliśmy go... Ojciec wypoczął, zasnął spokojnie: był ocalony!...

— Pan Bóg go uratował, orzekłem.

Wieczorem, gdy się chrześcijanie zgromadzili na pacierz wieczorny i różaniec, przemówiłem do nich słów parę:

— Czyż kto z nas przypuszczał wczoraj po południu w chwili Błogosławieństwa Najśw. Sakramentem i podczas różańca, że Pan Jezus i Matka Najświętsza wyglądali naszej modlitwy, by nam dać jasny dowód Swej Opatrzności przez te dwa cudowne ocalenia, które dziś podziwiamy? Powtarzajmy tedy z żarliwością nasze ulubione akty strzeliste:

Najświętsze Serce Jezusa, pokładam nadzieję w Tobie! — Serce Maryi niepokalane, módl się za nami!

Ocalona

Opowiadanie Siostry *Ferdynandy*, misjonarki della Consolata (Afryka Wchodnia).



Mamy tu w naszej misji czarną zakonnicę, Siostrę Łucję. Młodziutka ta Siostrzyczka ma zaledwie dwadzieścia lat. Dostała się do misji w szóstym roku życia. Było to po wojnie z r. 1918—1919. Szarańcza, różne choroby, głód nawiedzały ludność w straszliwy sposób.

Naszej małej było na imię Ngema, co znaczy tyle co małpka. Może dlatego dostało się jej to imię, że kiedy przyszła na świat, na drzewo przy chacie, w której się urodziła Ngema, wdrapała się właśnie mała swawolna małpka.

Dziewczynka rosła i rozwijała się ślicznie ku wielkiej radości rodziców, ale gdy przyszła wojna ze strasznymi swymi następstwami i klęskami, matka umarła. Za nią poszły starsze dzieci, tak że strapiony ojciec został sam z Ngemą. Wkrótce zabrakło w chacie pożywienia. Mała płakała z głodu, a on nie miał naprawdę nic, aby dziecko zaspokoić. Pędzili dni w wielkiej nędzy, oczekując śmierci. Maleńka popłakiwała nieustannie, dopraszając się chociaż by tylko kolby kukurydzanej.

Pewnego ranka ojciec, który był jeszcze poganinem, postanowił — ogarnięty rozpaczą — odebrać dziecku życie. Wziął wzdychającą żałośnie dziewczynkę na rękę i zaniósł ją daleko nad brzeg rzeki. Chciał ją utopić, aby dłużej



Czarne siostry przy rąbaniu drzewa.

nie cierpiała. Sześcioletnia Ngema zrozumiała, co ojciec zamierza uczynić. W śmiertelnym strachu uczepiła się ręki, która ją chciała zepchnąć do wody. Ojciec zanurzał ją kilkakrotnie, za każdym razem jednak udało jej się pochwycić jego rękę. Właśnie gdy ojciec znowu chciał ją wepchnąć pod wodę, nagle biała ręka spoczęła na jego ramieniu i nieznany głos zawołał: „Stój! co chcesz robić?"

Był to głos misjonarki, która zjawiła się tu jak anioł zbawczy. Ze wzgórza spostrzegła zbrodnicze zamiary ojca Ngemy i przybiegła czymprędzej, by im zapobiec.

„Puść mnie — daj mi pokój" wołał nieszczęsny Murzyn, ale Siostra wydarła mu dziecko z ręki i utuliła je w swoich ramionach.

„Czemu ją chcesz utopić?" zapytała.

„Bo... widzisz... nie mam nic dla niej — a nie mogłem już dłużej słuchać, jak wciąż płakała z głodu i wołała: jeść..."

„Powierz mnie to dziecko, ja się nim zajmę i postaram o pożywienie."

Ojciec przystał na to i Ngema dostała się do misji. Mała dzikuska nie mogła zrazu pojąć, dlaczego Siostry otaczają ją taką miłością i opieką. Przypomniała sobie, jak to krewni jej nieraz opowiadali, że biali ludzie zjadają dzieci. Myślała więc, że pewnie dlatego tak dobrze ją żywią, by ją później... zjeść. Była też w ciągłym strachu i skoro zobaczyła, że zupa gotuje się na kominie, albo że Siostra bierze do ręki nóż kuchenny, zaczynała krzyczeć w niebogłosy. Kryła się w ostatni kąt i trzęsła jak osika. Gdy jej to małe koleżanki z czasem wyperswa-

dowały, przestała się bać i zrobiła się z niej bardzo miła i usłużna dzieweczka. Na chrzcie otrzymała imię Magdaleny.

Minęło kilka lat. — Magdalena wyrosła na dzielne dziewczę i poprosiła o przyjęcie do Zgromadzenia Sióstr tubylczych. Prośbę jej spełniono i dziś żyje szczęśliwa i zadowolona wśród nas jako Siotra Łucja.

Czarny aniołek

Siostra *Salezja*, Mafeking, kraj Betschuanów.

Siostra szpitalna, chodząc jak zwykle po chatach murzyńskich naszej wioski, w nędznej, ponurej lepiance znalazła to pięcioletnie chłopię, ciężko chore, leżące na posłaniu z brudnych łachmanów. Ojciec nie żył — na matki głowie spoczywał trud wyżywienia licznej gromadki dzieci, to też chory chłopczyk zostawiony był sam sobie przez dzień cały, bez opieki i bez pomocy. A pomoc szybka była tu istotnie niezbędna, bo nurtująca dziecko choroba — zapalenie opon mózgowych — była już w fazie najwyższego rozwoju. Ostrożnie przeniosła Siostra biedne murzyniątko do szpitala i mocno gorączkujące ułożyła w białej pościółce. Otoczyła je tu najtroskliwszą opieką, czuwała przy nim we dnie i w nocy. Ale nadzieja wyleczenia go słabła z każdą chwilą tak, że pewnej nocy, gdy promyk życia zdawał się gasnąć, Siostra ochrzciła biedne maleństwo, dając mu za patrona św. Michała. I o dziwo! od tej godziny nastąpiła poprawa. Z początku dziecko przytomniało tylko na kilka sekund, wnet jednak przytomność wróciła na stałe.

W czasie długiej rekonwalescencji miałyśmy sposobność przekonać się, jak wielkimi łaskami cieszył się u Boga mały Michaś. Pięć lat miał dopiero, a cierpienia swoje znosił jak bohater. Trudno sobie wyobrazić, jakie męki on przeszedł! od długiego leżenia porobiły mu się rany na plecach, a nóżki stały się bezwładne. Nigdy jednak nie usłyszał nikt skargi, nawet jęku nie wydały drobne usteczka. Ba! w swej żałosnej niemocy starał się nawet pomagać Siostrze, gdy mu obmywała i bandażowała bolesne rany. —

Gdy po wielu, wielu tygodniach mógł wreszcie wstać, trzeba mu się było na nowo uczyć chodzić. Taki był wychudły, a przecież biedne nóżki unieść go nie mogły! Siostra zrobiła mu więc laskę z trzciny bambusowej. Podziwiałyśmy potem jego energię i wytrwałość! Całymi godzinami mały bohater próbował ćwiczyć się w chodzeniu. Jedną rączką opierał się na swojej bambusowej lasce, drugą trzymał się ściany i posuwał się zwolna. I dopiął tego, czego tak usilnie pragnął: już po kilku tygodniach mógł chodzić sam bez laski.

A za nic w świecie nie byłby wrócił między pogan do brudnej, nędznej chaty. Ze szpitala przeszedł niebawem do szkoły, gdzie stał się najlepszym uczniem i nadto ulubieńcem wszystkich. W bardzo niedługim czasie przyswoił sobie kunszt czytania, nauczył się na pamięć krótkich wierszyków i modlitewek. Przy tym był zawsze uśmiechnięty i pełen życia. Jak tylko jednak lekcje się skończyły, wymykał się naprzeciwko do szpitala i przemieniał się w małego pielęgniarza. Pomagał roznosić jedzenie dla chorych, sprzątać i odstawiać naczynia do kuch-

ni. W lot czytał z ócz Siostry każde życzenie i spełniał je z gotowością natychmiast.

Nadszedł dzień, kiedy Michaś pierwszy raz poszedł do kościoła. Ukląkł razem z innymi chłopcami na przedzie w pierwszej ławce. Kazanie jednak wydało mu się za długie i zaczął się bawić. Z zabawy zrobiła się sprzeczka,



Mały cieśla.

a z niej wynikła bójka. Skutki tej swawoli wywarły tak zbawienne wrażenie na Michasiu, że odtąd całą godzinę w kościele umiał przesiedzieć cichutko ze złożonymi rączkami, nie próbując się nawet oglądać.

Udawania i nieszczerości Michaś zupełnie nie znał. Nigdy nie popełnił najmniejszego kłamstwa, nawet gdy mu kara groziła. W ową niedzielę fatalną musiał za pokutę siedzieć sam i nawet obiad podano mu osobno. Wtem wtargnęła do niego, drepcząc pociesznie, maleńka

dwuletnia Anusia i nadstawiła łakomie buzię. Bez wahania podał jej Michaś swój kawałek mięsa, które każdy murzynek uważa za największy specjał. Na to weszła Siostra i zapytała surowo: „Dałeś Anusi twoje mięso?“ — „Tak, Siostro“, odpowiedział Michaś bez zająknienia. Za swoją prawdomówność otrzymał inny kąsek.

Wzruszającym było, jak bardzo dziecko to kochało Zbawiciela. Kiedyś pokazała mu Siostra mały obrazek. „To jest Pan Jezus“ zawołał z radością Michaś. „A czy ty kochasz Pana Jezusa?“ „*Eh, haholo, holo!*“ (tak, bardzo, bardzo) była odpowiedź malca i niewinne oczki rozpromieniły się uczuciem. Co rano chodził on na mszę św. i za dnia również raz po raz wymykał się do kościoła, aby pozdrowić Boskiego Przyjaciela dziatek. Pewnego ranka, o bardzo rychłej godzinie, miały przystąpić starsze dzieci do Stołu Pańskiego. Michaś nie chciał tej uroczystej chwili ominąć i wkrótce przybiegł za nimi odziany tylko w nocną koszulinę. Kto to pięcioletnie dziecię bacznie obserwował, nie mógł nie zauważyć, jak jego pobożność z dnia na dzień wzrastała coraz to skłonniejsza do ofiar w imię miłości Bożej.

Pan Jezus darzył Michasia również szczególniejszymi względami i dlatego pewnie powołał go do Siebie tak rychło. Stało się to zupełnie niespodzianie. Michaś wrócił z kościoła po mszy św. i usiadł do śniadania. Ale jakoś nie mógł nic jeść. Miał silną gorączkę i poszedł zaraz do łóżeczka. Stan jego pogarszał się z niesłychaną szybkością, siły słabły tak, że już po południu jasnym nam się stało, że koniec jest tuż. Rozpa-

lona dziecina leżała cichutko, nic się nie skarżąc, gotowa na śmierć. „Czy chciałbyś pójść do Pana Jezusa?“ zapytała Siostra. „Tak” odpowiedział Michaś. „A cieszysz się z tego?“ „O tak, bardzo się cieszę” rzekło dziecko i słodki uśmiech rozjaśnił na chwilę zbolałą twarzyczkę.

W czasie trzygodzinnego konania próbował Michaś wciąż robić znak krzyża i dobywając ostatnich sił powtarzał czule „Zdrowaś Maria“. Naraz pochwycił w obie rączki krzyżyk, który miał zawieszony na szyjce i przycisnął go kurczowo do serca. Ostatni żałosny uśmiech jeszcze i niewinna duszyczka uleciała w zaświaty. W brzasku uroczystości Wszystkich Świętych przyłączył się do ich zastępów, wprowadzony przez swego świętego patrona.

Zdaje się, że ten nasz mały aniołek gorliwie oręduje w niebie i dba ze swej górnej ojczyzny o rozrost Królestwa Bożego na ziemskim padole. Jego matka i babunia już się zgłosiły do katechumenatu i z rodzeństwa wszyscy chodzą do szkółki misyjnej !

Ufamy, że w naszych kłopotach i naszej ciężkiej pracy misjonarskiej swoim wstawiennictwem przyjdzie nam również z pomocą.



Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



SALIA

Salia liczyła może 10 lat. Widywałem ją często w chrześcijańskiej wiosce, z małym siostrzeńcem na ramieniu, pieszczącą i huśtającą go całymi godzinami. Siadywała na trawie, podczas gdy matka szła na pole. Mała miała brata, chrześcijanina, Antoniego i siostrę, także chrześcijankę, która swego czasu bardzo walczyła o to, aby wyjść za mąż za chrześcijanina. Stara matka Zuzanny w dniu ślubu swej córki, przyszła na werandę, aby mi rzec opryskliwie :

— Ojcze, teraz dosyć. Dałam ci Antoniego, a ty jeszcze wziąłeś Zuzannę. Teraz zostań ty sobie w swojej chacie, a ja w swojej.

A wuj muzułmanin dodał jeszcze do ucha małej Salii :

— Jeśli cię zobaczę kiedy z medalikiem na szyi, zbiję cię do krwi.

Od owego dnia mała chodziła jakoś mniej roztrzepana. W chwilach wolnych odwiedzała brata Antoniego i bawiła się z małym Natalem, skaczącym naokoło niej.

Któregoś dnia, gdy Salia spóźniła się z powrotem do domu, wuj muzułmanin spytał:

— A gdzieś to była do tej godziny?

— U Zuzanny.

— Coś tam robiła?

— Pilnowałam dziecka, bo Zuzanna musiała iść po drzewo.

Oburzona twarz wuja zdawała się spokojniejszą, ale czarnym wejrzeniem rzucał jej ostrzeżenie:

Jeśli cię raz ujrzę w tamtej chacie, to zbiję na kwaśne jabłko.

Tamta chata oznaczała kościółek. Dziewczę milczało, lecz do kościoła chodziła tak samo, mimo zakazu muzułmanina. Zwłaszcza w niedziele nie brakło nigdy Salii w kościele. Wchodząc, głęboko przyklękała i zbliżała się do ołtarza, bardzo skupiona. Widywała swoje towarzyszki, nawet mniejsze od siebie, ale szczęśliwsze od niej, jak przystępowały do komunii św.. Widziała, jak wracały od Stołu Pańskiego, z rękoma złożonymi nabożnie, skupione i szczęśliwe. Mijały Salię i klękały w ławkach. Patrzyła na nie długo i zamyślała się. Kto wie jakie tam myśli snuły się w jej główce?

Długo walczyła z sobą; wreszcie któregoś dnia zbliżyła się do mnie:

— Ojcze, dlaczego mnie nie chrzcisz i nie kochasz, jak te drugie?

— Ależ cię kocham; ale czy umiesz katechizm?

— Dlaczego mnie go nie nauczysz?

— Jak zrobisz z przychodzeniem do szkoły? Czy masz na to pozwolenie wuja?

— Nie mam, lecz wystarczy pozwolenie brata.

— Gdzie jest wuj ?

— Nie ma go; poszedł na wybrzeże, na robotę.

A więc Salia czekała cierpliwie na on dzień i wybrała czas dogodny. Podczas nieobecności muzułmanina mogłaby łatwiej zbliżyć się do starej matki, by otrzymać od niej pozwolenie na chodzenie do szkoły. Salia rozważyła już cały swój plan i ułożyła sobie wszystko. Wuj wróci dopiero za parę miesięcy.

I doprawdy owego wieczora udała się do matki. Nie wiem, jak tam sobie dziewczę poradziło ze starą, tak lękliwą mamą. Fakt jest, że odpowiedź brzmiała :

— Rób, co uważasz, abyś tylko narąbała drewek i nagotowała ryżu. Gdy wróci wuj, musisz się do niego zastosować. Jak cię zbije, to za twój upór względem niego i mnie.

— I coś na to odrzekła ?

— *Shami bake* — to jego rzecz.

— Nie, to będzie też i twoja rzecz.

— Nic mnie to nie obchodzi: chrztu już mi nie zabierze.

Po dwu miesiącach Salia była przygotowana. Inteligentna i przede wszystkim pełna dobrej woli, zdała egzamin do chrztu i do pierwszej komunii św. Chciała nazywać się Klelia i obrała sobie za matkę chrzestną towarzyszkę w starszym wieku. Owego radosnego ranka była niezwykle rozpromieniona. Woda chrztu świętego uczyniła ją córką Boga i Boże Dzieciątko wstąpiło do serca nawróconego dziecka. Zapytałem ją w chwilę potem :

— A więc, Klelio, kogo otrzymałaś dziś rano?

— Dzieciątko Jezus.

— I coś Mu rzekła ?

— Powiedziałam, aby nawrócił mamę i wuja.
— Nic więcej?
— Nie; przycisnęłam Go do serca.
— A jeśli cię wuj zbije?

Spuściła oczy, aby przygotować odpowiedź, a potem odezwała się tylko tyle:

— *Shami bake* — to jego rzecz.

Kochane dziecko, taka mała, a tyle musi cierpieć. Lecz Pan Jezus da ci tyle sił, abyś zniosła wszystko dla nawrócenia matki i wuja muzułmanina.

Film dla Murzynków

Opow. O. *Laagel* ze Zgrom. Ojców od Ducha św. Angola (Afryka Zachodnia).

W pewnej szkole, którą wizytowałem po raz pierwszy, zastałem tak głęboką wiarę i taki zapał, że było to dla mnie prawdziwą pociechą w napotykanych trudnościach. Mali czarni uczniowie, zasłyszawszy o „ovilulus“ t. zn. „duchach“, które siedzą pono w moim filmie, ledwie mogli doczekać się zachodu słońca i rozpoczęcia przedstawienia z „duchami“.

Jako pierwsi goście zjawiła się garstka bardzo nędznie odzianych dzieci. Na moją uwagę, że nie wytrzymają na chłodzie, boć przedstawienie miało odbyć się pod gołym niebem, odpowiedziały Murzyniątka: „To, co nam pokażesz, rozgrzeje nasze serca tak, że przestaniemy odczuwać chłód wieczorny. Chcemy zobaczyć Pana Jezusa, którego tak gorąco kochamy“.

Słysząc potem ich okrzyki podziwu i współczucia na widok obrazów z życia Zbawiciela,

miałem dowód, że wszyscy zebrani wzruszeni byli i zadowoleni, chociaż dwie godziny przyszło im spędzić na ostrym wietrze. Nikt nie odszedł przed końcem przedstawienia. Jeszcze na zakończenie zaśpiewali pieśń do św. Teresy, patronki misji.

Szarady Ułożyla R. E.

1. Pierwsze literą jest w alfabecie,
A drugie dźwiękiem nazwać możecie.
Pierwszy i drugi w starożytności
Znan z surowości!
Trzeciemu koniec zmień odrobinkę,
Otrzymasz liczbę (lecz nie jedynkę!)
Całe to misji w Rodezji miano,
W „Echu" już nieraz ją wspominano.

2. Jestem sobie rzeka
Duża i daleka.
Nazwę ma nielada —
Z dziesięciu liter się składa.
A z tych dwie litery
Powtarzają się każda razy cztery.
Gdzie płynę? W Nowym Świecie.
Teraz chyba zgadniecie.

ROZWIĄZANIE z Nr. 7:

W	A	**W**	E	L	**WARTA-WISŁA**
A	N	**I**	O	Ł	
R	O	**S**	Ó	Ł	
T	U	**Ł**	Ó	W	
A	G	**A**	W	A	

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki":

24 sierpnia w dzień św. Bartłomieja apostoła.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?“

Słowa te powtarza niejedna dusza pobożna, która na wspomnienie niezliczonych łask, udzielonych jej od Boga, bezradna, niejako zawstydzona, przygnieciona ogromem dobrodziejstw Bożych, czuje w sobie pragnienie i gotowość spełnienia wszystkiego, czego Bóg od niej zażąda, byleby choć w części wypłacić się z długu, zaciągniętego u Boga.

A gdyby tak, droga Czytelniczko, Pan Bóg od Ciebie zażądał ofiary całopalnej? Gdyby tak zażądał, byś Mu wzamian oddała na wyłączną służbę całe swe życie? O zaprawdę, byłabyś wtedy pozazdroszczenia godna, bo czyż może być urząd świętszy, wznioślejszy, korzystniejszy nad służbę dla chwały Bożej i zbawienia dusz? Dziś jeszcze zamów sobie książeczkę:

„Powołanie misjonarki-pomocnicy dla Afryki“,

zapoznasz się w niej z powołaniem, w którym możesz cel ten urzeczywistnić. Cena 50 gr. Do nabycia pod jednym z adresów, podanych na drugiej stronie okładki.



Kaplica domu Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie. (W czasie pierwszej mszy św., odprawionej z okazji poświęcenia domu w r. 1931 przez śp. Ks. Biskupa Nowaka.)